

MIŁOŚĆ I INTRYGI W ŚWIECIE
prêt-à-porter

negatyw
SZCZĘŚCIA

inizio

#1

LUDKA SKRZYDLEWSKA

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Redaktor prowadzący: Justyna Wydra

Zdjęcie na okładce wykorzystano za zgodą Shutterstock.

Wydawnictwo Helion SA

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 231 22 19, 32 230 98 63

e-mail: editio@editio.pl

WWW: <http://editio.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

<http://editio.pl/user/opinie/negasz>

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

ISBN: 978-83-283-6495-0

Copyright © Helion SA 2020

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność

Rozdział 1

O Mediolanie wiedziałam tyle, ile przeczytałam w Wikipedii. Kiedy pewnego marcowego poranka lądowałam na lotnisku w Bergamo, gdzieś po drodze między wyjściem z samolotu a wejściem do autobusu, który miał nas dowieźć do najbliższego budynku, uznałam, że może to jednak nieco za mało.

Było już jednak za późno, żeby cokolwiek z tym zrobić, co trochę mnie stresowało. W torbie, którą zabrałam ze sobą do samolotu, trzymałam rozmówki włoskie i turystyczną mapkę Mediolanu przed podróżą wciśnięte mi przez matkę. I to właściwie wszystko, co miałam przygotowane na ten wyjazd. Studiowałam obydwie podczas półtorej godziny lotu dość uważnie, ale i tak czułam się co najmniej zagubiona.

Włochy powitały mnie czystym niebem, lekkim wiatrem i zieloną trawą, co o tej porze roku w Warszawie stanowiło rzadki widok. Było ładnie i ciepło, odruchowo poluzowałam więc szalik, chwytając za rączkę mojego bagażu podręcznego i kierując się powoli w stronę autobusu. Rozglądałam się uważnie dookoła, rozmyślając równocześnie nad tym, co ja, do diabła, właściwie tu robie.

Naprawdę nie wiem, dlaczego się na to zgodziłam. Widocznie nie byłam jeszcze na tyle dorosła, na ile bym chciała, skoro pozwoliłam pokierować swoim życiem, kiedy znalazłam się na zakręcie. A może to dlatego, że zawsze tak źle się czułam z tym, że nie byłam wystarczająco miła dla mojej matki? Tyle razy się zastanawiałam, czy gdybym była bardziej podobna do niej, sprawy ułożyłyby się inaczej; może wtedy nie zostawiłaby mnie w Warszawie z ojcem? Może widywałabym ją częściej niż raz na parę lat?

O Boże, to było takie naiwne z mojej strony. Miałam dwadzieścia cztery lata, więc dawno powinnam skończyć z takimi myślami i darować sobie nadzieję, że kiedyś wreszcie zacznie być ze mnie dumna. A jednak lądowałam właśnie w Bergamo, we Włoszech, w których nigdy wcześniej

nie byłam i o których nie miałam pojęcia, a wszystko tylko dlatego, że tak chciała matka. Z pewnością nie byłam wystarczająco dorosła.

— Obiecay, że wrócisz — powiedział mi ojciec na koniec, gdy żegnał się ze mną na Okęciu. — Obiecay, że nie zostaniesz tam na stałe.

Naprawdę chciałam mu to obiecać. Ale jak mogłam to zrobić? Moje życie przypominało obecnie białą kartkę, którą dopiero miałam zapisać. Tylko że jeszcze nie miałam pojęcia, w jaki sposób.

Matka odezwała się niespodziewanie jakiś miesiąc przed moim wyjazdem, chociaż nie rozmawiałam z nią od prawie pół roku. Tak po prostu pojawiła się w drzwiach mieszkania, które dzieliłam z tatą w Warszawie, i oświadczyła, że ma dla mnie zajęcie. Wcale mnie nie zdziwiło, że wiedziała wszystko o moich niepowodzeniach w pracy — wyleciałam stamtąd z takim hukiem, że słyszeli to chyba nawet w Nowym Jorku, skąd podobno przyjechała. Zaskoczył mnie jednak fakt, że po raz pierwszy zdawała się tym interesować.

Przywykłam już do tego, że nigdy jej nie było. Zostawiła mnie z tatą, gdy miałam niecałe dwa latka, potem przyjeżdżała raz na parę lat, gdy sobie o nas przypominała i akurat miała chwilę wolnego w swoim wiecznie zapełnionym grafiku. Kiedy poszłam do szkoły i poznałam mamy moich koleżanek, byłam zdumiona, że nie każda jest taka jak moja: piękna, modnie ubrana, z wypiełgnowanymi paznokciami, pachnącymi włosami i słodkimi uśmiechami, które chętnie rozdawała za każdym razem, gdy przyjeżdżała.

Mamy moich koleżanek były inne: w większości siedziały w domu, gotowały, były zapracowane, ale zawsze znajdowały czas, by upiec ciasto na przyjęcie urodzinowe swoich córek lub położyć je do snu. Moja matka raz na parę lat przyjeżdżała do domu z torbami od Prady, gdzie zazwyczaj znajdowałam za małe na siebie ubrania i zabawki, z których dawno wyrosłam. Ale co mogła o tym wiedzieć, skoro nie pamiętała nawet daty moich urodzin?

Za to zawsze mogłam się dowiedzieć, gdzie aktualnie przebywa. Było jej pełno w plotkarskich gazetach i w internecie. Nazwisko ojca bardzo ułatwiło mi start w życiu, bo przynajmniej na każdym kroku nie porównywano mnie do znanej matki.

Im bardziej dorastałam, tym jej wizyty stawały się rzadsze i doskonale wiedziałam, dlaczego tak było. Matka nie widziała we mnie siebie; nie widziała we mnie osoby, którą mogłaby wprowadzić w swój świat,

ulepić na swój wizerunek i pochwalić się przed swoimi słynnymi znajomymi. Nie byłam dobrym typem córki dla kogoś takiego jak ona. Nie miałam jej urody, wdzięku ani obycia towarzyskiego. Byłam typem in-trowertycznej intelektualistki w okularach i za dużych koszulach, która najpewniej czuła się za obiektywem aparatu. Byłam dokładnie kimś takim, z kim moja matka nie potrafiła znaleźć wspólnego języka.

A jednak w lutym, kilka dni po moich urodzinach — co jednak było zwykłym przypadkiem, ponieważ i tak o nich nie pamiętała — pojawiła się w drzwiach naszego mieszkania na Pradze, by mi oświadczyć, że znalazła dla mnie pracę.

Kiedy razem z resztą pasażerów wysiadłam w końcu z autobusu pod halą przylotów i skierowałam się ku miejscu, gdzie mogłam odebrać mój bagaż, ze złością przypomiinałam sobie tamte słowa matki.

— To tylko okres próbny. Jeśli ci się nie spodoba, możesz zrezygnować po trzech miesiącach — oznajmiła, pokazując mi stronę internetową pewnego znanego domu mody. — Uwierz mi, bez odpowiedniej protekcji osoba bez doświadczenia nigdy nie dostałaby tam pracy. Postanowili dać ci szansę tylko dlatego, że za ciebie poświadczyłam.

— A dlaczego poświadczyłaś? — wyrwało mi się.

— Jak to dlaczego? Bo chcę ci pomóc, kochanie. — Nawet to słowo w jej ustach brzmiało obco. Wiedziałam, że używała go wobec każdego, a więc tak naprawdę nie miało znaczenia.

Moja matka, która miała już czterdzieści trzy lata, wyglądała jak moja starsza siostra. Z idealnie ułożonymi czarnymi włosami, tak podobnymi do moich — tyle że moje wiecznie były związane w niedbały koński ogon — z perfekcyjnym makijażem, w ubraniach, które kosztowały pewnie tyle co połowa mojej garderoby, i z dyskretną, pobrzękującą jej na nadgarstkach biżuterią. Ach, zapomniałam o perfumach. To wszystko sprawiało, że matka wyglądała obco.

— Ta praca pomoże ci poszerzyć horyzonty, poznać nowych ludzi, wyrobić sobie nazwisko. Musisz wreszcie wyjść z tej skorupy.

Mówiąc to, zrobiła taki ruch, jakby miała na myśli nasze mieszkanie albo Warszawę w ogóle, a nie mój charakter. Było mi zresztą wszystko jedno. Ta kobieta, która stała w naszym niewielkim salonie, była tam tak bardzo nie na miejscu, że autentycznie chciałam, by już wyszła.

A jednak doskonale wiedziałam, o co jej chodziło. To była kolejna próba, by dostosować mnie do jej standardów. Ona nigdy nie rozumiała,

że potrzebowałam akceptacji takiej mnie, jaką byłam, a nie takiej, jaką ona chciała mnie widzieć. Dla niej posiadanie córki pracującej w podrzędnym zakładzie fotograficznym gdzieś w Warszawie było po prostu wstydem. Pewnie stąd ta nagła chęć pomocy.

— Nie znam włoskiego — zaprotestowałam.

— Nauczysz się, kochanie! — zawołała tym tonem, który znałam doskonale, mimo że tak rzadko go słyszałam: oznaczał, że dla matki nie było problemu. A skoro ona go nie widziała, nie przyjmowała też do wiadomości, że ktoś inny mógłby. — Na razie możesz ze wszystkimi porozumiewać się po angielsku. Znasz angielski, prawda?

— Tak — odparłam ze znużeniem. — Tylko nie jestem pewna, czy wystarczająco dobrze...

— Na pewno! — Znowu przerwała mi lekceważącym machnięciem ręki. — Włosi też nie mówią po angielsku perfekcyjnie, więc wasze poziomy prawdopodobnie będą zbliżone. Dzięki temu będzie wam łatwiej się zrozumieć. Jestem pewna, że sobie poradzisz, wystarczy odrobina wiary w siebie.

W domu mody? Wolne żarty, mamusiu.

— Nie wiem, czy to dobry pomysł... — zaczęłam dla zasady, ale wcale się nie zdziwiłam, gdy matka ponownie mi przerwała:

— To nie jest *dobry* pomysł, kochanie. To *doskonały* pomysł. Prawdę mówiąc, żałuję, że nie wpadłam na niego wcześniej, zanim przeżyłaś to żenujące doświadczenie w twojej poprzedniej pracy. Zmiana klimatu ci się przyda, a ta praca to coś, co bez wstydu będziesz mogła wpisać w CV. Firma ma świetną renomę, a przede wszystkim znam osobiście Caterinę, jej właścicielkę. Cudowna kobieta, sama zobaczysz. Ich siedziba mieści się przy tej samej ulicy gdzie inne sławne domy mody, na przykład Dolce & Gabbana.

Matka spojrzała na mnie tak, jakby spodziewała się, że zapytam, co to jest Dolce & Gabbana, ale nie dałam jej tej satysfakcji. Zamiast tego z rezygnacją oświadczyłam, że muszę się zastanowić.

W wyniku tego zastanawiania się miesiąc później wysiadałam z samolotu na lotnisku w Bergamo, czując, że moje życie dryfuje donikąd.

No, może nie donikąd. Ale na pewno na nieznanne wody, które przez to, że nieznanne, prawdopodobnie były też niebezpieczne.

Odebrałam w końcu bagaż i wraz z tłumem skierowałam się ku wyjściu. Wśród ludzi czekających na tych, którzy właśnie przybyli, z pew-

nym zdziwieniem odnalazłam mężczyznę trzymającego tabliczkę z wyraźnym napisem „SIGNORINA SASHA WOZNIACKI”.

Właściwie mogłam się tego spodziewać, pomyślałam melancholijnie, podchodząc do mężczyzny i witając się z nim łamaną angielszczyzną. To znaczy on tak się witał, bo moja była całkiem niezła. Miał około czterdziestki i przedstawił mi się jako kierowca wysłany po mnie z zatrudniającej mnie firmy. Gdy zapytałam, czy witają tak każdego nowego pracownika, odparł, że tylko tych poleconych przez Francescę Visconzi.

Ach, zapomniałam wspomnieć o jednym. Matka absolutnie zabroniła mi wspominać komukolwiek, że jestem jej córką. Gdybym miała nieco więcej wrażliwości lub była nieco mniej uodporniona na jej całkowicie obojętne względem mnie zachowanie, pewnie by mnie to zabolowało.

Ona jednak miała fioła na punkcie mojego pochodzenia. Nigdy nie mogła wybaczyć ojcu, że przeforsował swoje zdanie i dał mi nie tylko swoje polskie nazwisko, ale także zwyczajne polskie imię. Z Aleksandry wkrótce stałam się Saszą, ale to jej nie wystarczyło. Stąd napis na tabliczce kierowcy — Sasha Wozniacki brzmiała dużo mniej zaściankowo od zwykłej polskiej Aleksandry Wozniackiej i dużo bardziej międzynarodowo.

Nie miałam już jednak siły się o to kłócić, przyjęłam więc te zmiany w moim nazwisku i dałam się zaprowadzić do samochodu, który miał mnie chyba zawieźć do hotelu.

Chciałam obejrzeć sobie miasto, które podobno było bardzo ładne, ale pomknęliśmy autostradą prosto do Mediolanu, oddalonego od Bergamo o dobrych kilkadziesiąt kilometrów. Oparłam wobec tego czoło o szybę, próbując znaleźć w tej sytuacji jakieś jasne strony.

Ostatecznie powinnam być zadowolona. Zaczynałam pracę w znanym na całym świecie domu mody, w dodatku w Mediolanie, pięknym, ale i zupełnie obcym mi mieście, miałam poznać mnóstwo nowych ludzi, zdobyć nowe doświadczenia i w ogóle przeżyć największą przygodę w życiu. Więc dlaczego było mi z tym tak źle? Dlaczego nie czułam podekscytowania, tylko ponure przeświadczenie, że nie powinno mnie tu być?

Może miało to coś wspólnego z faktem, że ta propozycja pracy przyszła od mojej matki, albo z tym, że zaproponowano ją tylko dzięki jej poręczeniu. Albo po prostu nie chciałam pracować za granicą, tylko wrócić do dobrze mi znanej Polski. Sama nie byłam pewna. Tak czy

Może miało to coś wspólnego z faktem, że ta propozycja pracy przyszła od mojej matki, albo z tym, że zaproponowano ją tylko dzięki jej poręczeniu. Albo po prostu nie chciałam pracować za granicą, tylko wrócić do dobrze mi znanej Polski. Sama nie byłam pewna. Tak czy inaczej czułam się tak, jakby w żołądku zagnieżdżył mi się wielki kamień, który nie tylko sprawiał mi fizyczny ból, ale też przyprawiał o mdłości.

Dojazd do Mediolanu zajął jakieś czterdzieści minut. Wówczas krajobraz znacząco się zmienił i moja uwaga skupiła się na mijanych ulicach, jako że prezentowały sobą znacznie ciekawszy widok od autostrady. Sunęliśmy korowodem wąskich uliczek, z obydwu stron zastawionymi niewielkimi samochodzikami, głównie fiatami. Nad autami górowały kilkupiętrowe kamieniczki z pootwieranymi okiennicami, ozdobnymi balkonami i bramami. Na chodnikach stało mnóstwo skuterów; równie dużo widziałam ich na drogach, gdy wpychały się między samochody na odległość lusterek, co kierowcy kwitowali ostrymi sygnałami klaksonów.

W dodatku, co zauważyłam na którymś z kolei przejeździe przez skrzyżowanie, piesi wyskakiwali na ulice zupełnie niespodziewanie i jakby nie przejmując się możliwością przejechania ich przez mknące szybko samochody. Chyba kierowcy bardzo dbali tutaj o hamulce swoich aut.

Przejechaliśmy obok niewysokiego przeszklonego budynku będącego wspomnianą przez matkę siedzibą Dolce & Gabbany; wtedy wiedziałam już, że byliśmy blisko celu. I faktycznie, chwilę później wyjechaliśmy na inną, nieco szerszą ulicę i zatrzymaliśmy się pod kamienicą z niewielkim szyldem hotelu.

— Jesteśmy na miejscu — oznajmił kierowca swoją łamaną angielszczyzną. — Zaraz wyniosę walizki.

Wysiadłam, powoli rozglądając się dookoła, po czym o mało nie zostałam rozjechana przez rozpędzoną vespę jadącą środkiem chodnika. Uskoczyłam w ostatniej chwili, o mało nie dostając przy tym ataku serca. Rany boskie, co to było za nienormalne miasto?!

— Niech się pani nie przejmuj — dodał kierowca, który najwyraźniej widział całe zdarzenie. — Przyzwyczaj się pani.

Zaniósł moje walizki do recepcji, w której młoda panienka o ciemnej karnacji skóry nie rozumiała słowa po angielsku. Na szczęście kierowca posłużył za tłumacza.

— Signor Alessandro kazał przekazać, że ktoś zjawi się po panią po południu, by oprowadzić panią po firmie — wyjaśnił następnie. — Do tego czasu proszę rozgościć się w pokoju.

Już po chwili kierowałam się do mojej sypialni, położonej na pierwszym piętrze, zastanawiając się równocześnie, kim mógł być mężczyzna, do którego odnosił się kierowca. Moim bezpośrednim przełożonym? Czy fotograf wysłałby po mnie samochód na lotnisko?

Pokój, który dostałam, był naprawdę ładny. Znajdowało się w nim szerokie podwójne łóżko w ramie z ciemnego drewna przykryte szarą narzutą, a także podwójna szafa o przesuwanych drzwiach, których jedna część stanowiła lustro. Po obydwu stronach łóżka stały stoliki nocne z lampkami, a naprzeciwko niego szafka z telewizorem o płaskim ekranie.

Odsunęłam rolety i wyjrzałam za okno. Miałam widok na podwórze, nad którym z czterech stron pochylały się balkony kamienic. Na dole rozwieszono sznury do prania, obecnie puste; pewnie pogoda nadal nie była odpowiednia. Tak właśnie wyobrażałam sobie typowe włoskie podwórka i chociaż nigdy wcześniej nie byłam we Włoszech, okazało się, że niespecjalnie się pomyliłam.

Postawiłam moje walizki pod ścianą, tuż obok drzwi prowadzących do łazienki, po czym z westchnieniem rzuciłam się na łóżko. Boże, co ja najlepszego narobiłam?!

Byłam w Mediolanie. We Włoszech, w których nigdy wcześniej nie byłam, w kraju, którego języka nie znałam, podobnie jak zwyczajów, a właściwie... niczego. Nic nie wiedziałam o tym miejscu! O mieście — tyle, że życie tutaj podobno było drogie i że Mediolan uważano za stolicę mody. O języku — pewnie, potrafiłam podziękować i poprosić, a także powiedzieć „dzień dobry”, poza tym w zasadzie nic.

Jako fotografka dostrzegałam w Mediolanie i pracy w domu mody okazję. Mimo wszystko jednak miałam obawy, jak się to wszystko potoczy. A co, jeśli nie będę ich nawet rozumiała, bo nie nauczę się języka? A co, jeśli uznają, że nie umiem robić zdjęć? A co, jeśli mnie nie polubią? Co, jeśli sobie nie poradzę?

Te pytania, choć bardzo próbowałam sobie wmówić, że wszystko będzie dobrze, ciągle krążyły mi po głowie. Cóż, nigdy nie miałam wysokiej samooceny i zawsze to inni bardziej wierzyli we mnie niż ja sama. Może to miało coś wspólnego z kompleksem porzucenia przez matkę.

Spojrzałam na zegarek. Była dwunasta, czyli do bliżej nieokreślonego „popołudnia” miałam przynajmniej dwie godziny wolnego. Jasne, mogłam w tym czasie wziąć długi prysznic, ale wolałam zrobić coś innego. Wobec tego wyjęłam z torby niepotrzebne rzeczy, założyłam sobie na szyję aparat — moją ukochaną lustrzanekę, po czym bez namysłu opuściłam apartament, żeby udać się na miasto i poszukać dobrych okazji do robienia zdjęć.

Idąc już ulicą, założyłam okulary przeciwsłoneczne i przygotowałam aparat — narzędzie, przez które zawsze najlepiej patrzyło mi się na świat. Innych metod nie mogłam być pewna, ale wiedziałam, że obiektyw zawsze powie mi prawdę. Było to coś stałego w moim życiu, a tych stałych było tak niewiele, że każdej trzymałam się kurczowo.

Wyruszyłam na poszukiwania, obiecując sobie, że nie wrócę bez porządnych zdjęć. Musiałam jakoś odstresować się po przylocie.

A nic mnie tak nie odstresowywało jak robienie zdjęć.

Rozdział 2

Kiedy wróciłam do hotelu, w recepcji czekał jakiś mężczyzna. Zauważyłam go już z daleka, idąc korytarzem, i mimo że nie był ubrany jak pracownik wielkiego domu mody — nosił zwykłe džinsy i T-shirt, na który narzucił sportową marynarkę — odczułam irracjonalny niepokój. Boże, spraw, żeby to nie był nikt z pracy, pomodliłam się prędko, ale być może dlatego, że zwracałam się do Boga jedynie w podbramkowych sytuacjach, tym razem mnie nie wysłuchał.

Nie chodziło tylko o to, że nie chciałam jechać do miejsca, w którym miałam pracować, w dodatku z kimś, kto czekał na mnie, gdy ja szlajałam się po mieście, zamiast grzecznie siedzieć w pokoju. Miało to raczej coś wspólnego z wyglądem tego faceta. A wyglądał na typowego lansującego się Włocha, których tego dnia spotkałam wielu na ulicach Mediolanu. Zauważyłam wręcz, że w tym mieście mężczyzn można było zasadniczo podzielić na dwie grupy: hipsterów i elegancików. Nie byłam jeszcze pewna, do której grupy zaliczał się ten egzemplarz, ale biorąc pod uwagę jego wiek — z pewnością był już po trzydziestce — stawiałabym na tę drugą.

Poza tym egzemplarz był wysoki. W szkole zawsze nazywano mnie tyką, bo byłam szczupłą i miałam ponad metr siedemdziesiąt wzrostu, a on i tak był ode mnie sporo wyższy, co zauważyłam, kiedy tylko wstał z kanapy w recepcji, obrzucając mnie uważnym spojrzeniem. Wcale nie chciałam jechać do pracy z przystojnym Włochem-elegancikiem, który tylko niepotrzebnie by mnie rozpraszał. A ten faktycznie był dosyć przystojny, oczywiście jeśli ktoś lubi ten typ urody: ciemnowłosa, ciemnokoki, z oliwkową skórą i kilkudniowym zarostem. Tak się nieszczęśliwie składało, że zawsze od blondynów wołałam brunetów.

Cholerny elegancik, pomyślałam jeszcze, po czym podeszłam do recepcji i na migi poprosiłam o swój klucz, próbując ignorować faceta.

Niestety, nie udało się, bo bezszelestnie podszedł bliżej i stanął tuż obok mnie, po czym zapytał:

— Signorina Sasha Wozniacki?

Odwrociłam się do niego, w ręce kurczowo ściskając klucz do pokoju. A więc jednak.

— Tak — odparłam, nie wiedzieć czemu po włosku. Było to kompletną głupotą, bo naturalną kolejną rzeczą było, że facet zaczął mówić w swoim ojczystym języku coś, czego oczywiście nie rozumiałam. Jakim cudem miałabym zrozumieć, skoro po włosku znałam trzy podstawowe zwroty? Wobec tego kiedy jego śpiewna wypowiedź już umilkła, wyrzuciłam z siebie jeden z tych trzech zwrotów: — Przepraszam, nie mówię po włosku.

Zawahał się tylko chwilę, po czym odpowiedział nienaganną angielszczyzną:

— Rzeczywiście, Francesca wspominała, że będziesz uczyć się języka dopiero po przyjeździe. Mam nadzieję, że szybko poznasz podstawy. — A potem wyciągnął w moim kierunku rękę i dodał lekko: — Jestem Alessandro, oprowadzę cię dzisiaj po firmie.

Niepewnie uściśnęłam jego dłoń, zastanawiając się równocześnie, czy ten facet nie ma nazwiska. Nie zapytałam o to jednak, uznając, że może to normalne dla Włochów przedstawiać się samym imieniem.

Czułam się w jego obecności nieco niepewnie, zwłaszcza że Alessandro przyglądał mi się uważnie, jakby szukając czegoś w mojej twarzy. Byłam pewna, że czegokolwiek by szukał, nie znajdzie tego, ale nie uprzedziłam go, bo po co miał się tak od razu rozczarowywać. To baczne orzechowe spojrzenie bardzo mi się jednak nie podobało. Alessandro wyglądał tak, jakby mnie oceniał. Ale jak mógł mnie oceniać, skoro w ogóle mnie nie znał?

— Wydawało mi się, że dałam Cesaremu dokładne wskazówki — powiedział, kiedy nie doczekał się ode mnie ani słowa. Tym razem w jego głosie pobrzmiwało lekkie niezadowolenie. — Kazałem mu powiedzieć ci, że ktoś przyjdzie po ciebie do hotelu, żeby oprowadzić cię po firmie, ale chyba tego nie zrobił, skoro wyszłaś na miasto? Czekam prawie pół godziny.

Pół godziny? W to nie zamierzałam wierzyć. On nie wyglądał na człowieka, który czekałby pół godziny nawet na papieża, a co dopiero na byle jaką nową pracownicę, nawet jeśli poleconą przez Francescę

Visconzi. Pewnie siedział w recepcji jakieś dwie minuty i już to mu wystarczyło, by czuć się tak, jakby to było pół godziny.

Skoro jednak mówił o kierowcy, a to nie ulegało wątpliwości, musiałam wyprostować sytuację, żeby nie oberwało się niewinnemu człowiekowi. Ostatecznie nawet jeśli byłam tchórzem, to przecież miałam resztki sumienia.

— To moja wina — przyznałam więc. — Kierowca powiedział mi, że ktoś pojawi się po południu, ale nie wiedziałam dokładnie o której. Spodziewałam się, że to będzie dużo później, dlatego wyszłam na spacer. Nie odeszłam daleko.

— To dobrze, bo mogłabyś się zgubić i to ja musiałbym cię potem szukać. — Grymas na jego twarzy mówił mi wyraźnie, że wcale nie miał na to ochoty. — Chodźmy już. A kierowca ma na imię Cesare.

— Wiem. — Wzruszyłam ramionami. O co temu facetowi chodziło?

Musiałam przyznać, że nie zrobił na mnie dobrego wrażenia. Owszem, może i był przystojny, ale poza tym ponury i gburowaty, a także trochę nieuprzejmy. Kłóciło mi się to ze stereotypowym wizerunkiem Włocha, jaki przez dwadzieścia cztery lata wbijały mi do głowy środki masowego przekazu, uznałam więc, że naiwnością byłoby myśleć, że wszyscy Włosi to wiecznie uśmiechnięci wesołkowie, na przywitanie całujący każdego bez wyjątku w obydwa policzki. Z pewnością i tu trafiały się różne charaktery.

Oddałam klucz do recepcji, zanim w ogóle zdążyłam wejść do pokoju, i posłusznie poszłam za Alessandrem.

Pierwszych kilka minut drogi spędziliśmy w milczeniu, przy czym Alessandro najwyraźniej był zajęty swoimi myślami, natomiast ja desperackimi próbami nadążania za nim, bo narzucił szaleńcze tempo, aż w końcu nie wytrzymałam. Bo czy tak miało wyglądać oprowadzanie po firmie? Chyba wołałabym, żeby wysłali do mnie jakiegoś wiecznie uśmiechniętego wesołka.

— Czym się właściwie zajmujesz? — zapytałam, stając na środku chodnika, żeby poluzować szalik, w którym zrobiło mi się nagle za gorąco. To pewnie dlatego, że przez ostatnie kilka minut prawie biegłam.

Alessandro odwrócił się do mnie niecierpliwie, w jego oczach błysnęło jednak lekkie rozbawienie.

— Nie wiesz? — podjął, zatrzymując się niechętnie. Wyglądał tak, jakby tylko czekał, aż odplączę z szyi ten cholerny szalik, żeby

znowu rzucić się do ucieczki przede mną, dlatego na wszelki wypadek ostrzegłam:

— Nie będę za tobą biec, więc zwolnij! — Zabrzmiało to dziwnie stanowczo, aż zamilkłam, zdumiona, że tak potrafię. Alessandro jednak tylko się skrzywił, jakby właśnie zjadł cytrynę. — I nie, nie wiem. Nie miałam czasu, żeby dowiedzieć się czegoś o waszej firmie.

Przez chwilę przyglądał mi się zagadkowo, po czym powoli kiwnął głową. A potem, ku mojemu zdziwieniu, równie powoli ruszył chodnikiem w dalszą drogę, zostawiając dla mnie miejsce obok siebie. Zajął je prawie chętnie, bo mimo wszystko było to lepsze niż gonienie za nim i wlepianie wzroku w jego kark.

— Szkoda, bo to znaczy, że będę musiał ci wszystko tłumaczyć. — Przewrócił oczami, zupełnie jakbym była dzieckiem, które zapytało go, jak się wiąże sznurowadła. Coraz mniej lubiłam tego faceta. — Słuchaj uważnie i nie przerywaj, bo nie zamierzam się powtarzać.

— Nie jestem małym dzieckiem — warknęłam mimo woli. Obrzucił mnie taksującym spojrzeniem.

— Tak, widzę — mruknął, po czym powrócił wzrokiem do chodnika przed sobą, a ręce włożył do kieszeni spodni. Nie miałam pojęcia, o co mogło mu chodzić, wobec tego, żeby nie przyglądać mu się idiotycznie, rozejrzałam się po ulicy. Znajdowaliśmy się znowu na Via Carlo Goldoni, chyba właśnie tej, gdzie znajdowała się siedziba domu mody, dla którego miałam pracować. To była ta wąska uliczka z zaparkowanymi po obydwu stronach samochodami. Kiedy zaczęłam przyglądać się dekoracjom na balkonach mijanych kamienic, Alessandro prychnął: — Skup się, to nie wycieczka.

— Mam podzielność uwagi. — Rzuciłam mu protekcyjnalne spojrzenie. — A kiedy wreszcie zaczniesz coś mówić, z pewnością zauważę.

Próbował mnie chyba zabić wzrokiem, ale mu nie wyszło. Dziwne. Rozumiałam oczywiście, czemu jestem wobec niego niemila: chociaż był to argument godny dziesięciolatki, byłam gotowa przyznać, że to on zaczął. Ale dlaczego właściwie zaczął? Był nieprzyjemny dla wszystkich czy tylko we mnie coś mu się nie podobało? Jeśli to pierwsze, mogłam to jeszcze zrozumieć, ale jeśli powodem było to drugie, to niby co takiego mogło mu się we mnie nie podobać? Że byłam Polką? Że bez polecenia matki nigdy bym tu nie trafiła?

Tak czy inaczej jego zachowanie było strasznie irytujące i nie mogłam się już doczekać momentu, kiedy się od niego uwolnię.

Alessandro kiwnął powoli głową, po czym ponownie odwrócił wzrok. Szkoda, bo miał naprawdę ładne orzechowe oczy.

— Na kolejnych targach mody zamierzamy pokazać nową kolekcję, dlatego w najbliższym czasie przewidujemy mnóstwo pracy — wytłumaczył w końcu, co oczywiście nic mi nie wyjaśniło. Nie pokazałam tego jednak po sobie. — Caterina chce jak najszybciej stworzyć nowy katalog, więc Teo będzie miał dużo do fotografowania. W przyszłym tygodniu przyjeżdżają z Londynu nasze modelki, w tym Adele, twarz naszej firmy. Do tego czasu szycie powinno już być zakończone.

— Teo to...

— Teodoro Capelli, fotograf, z którym będziesz pracować — wyjaśnił Alessandro, przerywając mi w pół zdania. Oczywiście niczego innego się po nim nie spodziewałam, chociaż znałam go jakieś pół godziny. A może właśnie dlatego. — Francesca naprawdę ci tego nie powiedziała?

— Trzymała się ogólników. — Zmarszczyłam brwi, kolejny raz zastanawiając się, kim był ten facet, skoro zarówno o mojej matce, jak i o właścicielce firmy wypowiadał się po imieniu. — Caterina di Volpe to właścicielka, tak?

— Nie, oficjalnie nie. — Dotarliśmy do wysokiego na kilka pięter przeszklonego budynku z nazwą domu mody DI VOLPE wypisaną nad wejściem srebrnymi literami. Alessandro pchnął drzwi, po czym gestem pokazał mi, żebym pierwsza weszła do środka. Niepewnie zrobiłam krok do przodu i już po chwili znalazłam się w ogromnym, przestronnym holu, na środku którego stała recepcja, a wokół biegało mnóstwo ludzi. Zupełnie jak w ulu. — Oficjalnie właścicielem firmy jest syn Cateriny, a ona jest jedynie główną projektantką.

— Nie rozumiem — przyznałam niechętnie. — Francesca mówiła mi, że to Caterina jest właścicielką.

— Od kilkudziesięciu lat jest podporą firmy i w praktyce nią rządzi, ale zarząd bardzo niechętnie widział na czele kobietę — wyjaśnił Alessandro bez mrugnięcia okiem, idąc powoli w stronę recepcji, za którą siedziała młoda, bardzo szczupła brunetka z ciemnym makijażem wokół oczu. — Dlatego oficjalnie prezesem Di Volpe był najpierw pierwszy mąż Cateriny — to jego ojciec ją założył — potem jej drugi mąż, a potem syn.

Ale rzeczywiście, w praktyce to ona jest osobą decyzyjną. — Stanęliśmy w końcu pod recepcją, gdzie Alessandro uśmiechnął się przyjaźnie do brunetki i dodał zupełnie innym, bardziej beztróskim tonem: — Bianco, poznaj Sashę, będzie od dzisiaj pracować z Teo.

Brunetka obdarzyła mnie olśniewającym uśmiechem białych zębów, po czym wyciągnęła w moją stronę dłoń z wypielęgowanymi paznokciami.

— Witaj w Di Volpe, Sasho — powiedziała po angielsku z mocnym włoskim akcentem, gdy uściśnęłam jej dłoń. — Jestem pewna, że będzie ci się tu dobrze pracować. — A potem z poufałym uśmiechem zwróciła się do mojego towarzysza: — Chcesz, żebym oprowadziła Sashę po firmie, Alessandro? Marco szuka cię od rana.

— Nie, ja zajmę się Sashą — odparł Alessandro zdecydowanie, stanowczym tonem zwiększając między nimi dystans. Przyglądałam się temu z zaciekawieniem. — A ty, jeśli spotkasz Marca, powiedz mu, proszę, że mam dzisiaj dzień wolny, więc czegokolwiek ode mnie chce, to musi poczekać do jutra.

— Jasne. — Bianca kiwnęła głową, po czym zwróciła się znowu do mnie z jawnym zainteresowaniem: — Jesteś Angielką, Sasho?

— Nie, Polką — sprostowałam bez namysłu. — Sasha to zdrobnienie od Aleksandry.

— Alessandra! — Bianca wypowiedziała to w swoim ojcystym języku, po czym z uśmiechem spojrzała na towarzyszącego mi Włocha. — Wiedziałaś, że macie takie podobne imiona, Alessandro?

— Nie — uciął Alessandro, cofając się o krok od recepcji. Tym samym dał mi do zrozumienia, że czas iść dalej. — Chodź, Sasho, przedstawię cię Teo.

Rzuciłam w kierunku Bianki, że było miło ją poznać, po czym posłusznie dałam się zaprowadzić do mieszczącego się na pierwszym piętrze atelier. Po drodze Alessandro objaśniał mi beznamiętnie, jakie działy mijamy, a ja starałam się uśmiechać do każdej napotkanej osoby. W końcu nie wytrzymałam i zadałam mu pytanie, które nurtowało mnie, odkąd odeszliśmy spod recepcji:

— Skoro masz dzisiaj wolne, to dlaczego mnie oprowadzasz?

— Właśnie dlatego — mruknął, rzucając mi niechętnie spojrzenie.

— Caterina dała mi wolne, abym ze wszystkim cię zapoznał. Uparła

się, że powinniśmy zrobić wszystko, żeby córka Franceski Visconzi dobrze się u nas poczuła.

— Wiesz, że jestem córką Franceski? — zdziwiłam się. W końcu matka nie chciała się tym chwalić, prawda?

Alessandro obojętnie wrzucił ramionami.

— Oczywiście, powiedziała o tym Caterinie, chociaż nie chciała, żeby to się rozniosło.

— Naturalnie — prychnęłam, na co Alessandro spojrział na mnie uważnie.

— Co masz przez to na myśli?

Na szczęście nie musiałam odpowiadać na jego pytanie, bo w tej samej chwili rozdzwoniła się jego komórka. Alessandro przeprosił mnie kolejnym mruknięciem i zaczął jej szukać w kieszeniach marynarki, by w końcu odebrać słowami po włosku, które jeszcze byłam w stanie zrozumieć:

— Witaj, Adele, co u ciebie słychać?

Odszedł, pokazawszy mi wcześniej na migi, żebym nie ruszała się z miejsca, więc z ulgą oparłam się o ścianę obok drzwi prowadzących do działu odpowiedzialnego za szycie kreacji domu mody Di Volpe. Jak to dobrze, że jego telefon zadzwonił, na przyszłość powinnam być ostrożniejsza! Wcale nie chciałam, żeby jakiś obcy facet, w dodatku najwyraźniej znający matkę albo Caterinę, która z tego co, wiedziałam, była jej przyjaciółką, dowiedział się czegoś o moim życiu prywatnym. I o kompleksie porzucenia, jaki odczuwałam już wcześniej, zanim matka wprost przyznała się, że nie chciała, by wszyscy wiedzieli, że jestem jej córką.

Wstydziła się mnie, to jasne, Alessandro jednak wcale nie musiał o tym wiedzieć.

Zamknęłam oczy, dając sobie chwilę na pobieranie się, ale w tym samym momencie dostałam cios w ramię od otwierających się gwałtownie drzwi. Oskoczyłam, chwytając się za rękę, po czym spojrzałam na osobę, która właśnie pojawiła się na korytarzu.

Był to wysoki szatyn mniej więcej koło trzydziestki. Miał na sobie ciemne garniturowe spodnie i obcisły czarny podkoszulek, tym samym dobrze się wpisując w moją obserwację na temat Włochów-elegancików. Łagodne rysy twarzy i ładnie wykrojone usta, wykrzywione w lekkim

uśmiechu, sprawiały, że wyglądał całkiem sympatycznie. Na mój widok zrobił pełną niepokoju, przepraszając mnie.

— *Scuzi!* — Tyle zrozumiałam z potoku włoskich słów, które mnie następnie załały. Gwałtownie zamachałam rękami, przerywając w połowie jego wypowiedź, po czym po raz kolejny posłużyłam się znanym mi już zwrotem:

— Przepraszam, nie mówię po włosku.

Mężczyzna pokiwał głową, po czym — dzięki Ci, Boże! — przeszedł na angielski.

— Przepraszam. Nic ci się nie stało? — Dziw nad dziwy, mowa Anglików, powszechnie uważanych za flegmatyków, uspokoiła też nieco żywiołową wypowiedź tego mężczyzny. Uśmiechnęłam się mimowolnie. — Byłem pewien, że mówisz po włosku, bo wyglądasz na rodowitą Włoszkę.

Zaśmiałam się.

— Nie, jestem Polką — wytłumaczyłam po raz kolejny tego dnia, po czym bez namysłu wyciągnęłam w jego kierunku dłoń. — I nic mi nie jest, przeżyję. Mam na imię Sasha, będę pracować dla Teo.

— *Vittore*. — Mężczyzna błysnął białymi zębami w uśmiechu, mocno ściskając moją dłoń. — Pracuję w dziale krawieckim. — Głową wskazał na drzwi, zza których właśnie wyszedł. — Dla Teo, powiadasz? No cóż, gdybyś potrzebowała kiedyś pomocy, nie wahaj się prosić. Teo to znany na całą firmę choleryk, opowiadamy sobie nawet o nim biurowe dowcipy.

— *Serio?* — Mina trochę mi zrzedła, co *Vittore* musiał zauważyć, bo dodał natychmiast:

— Ale na pewno będzie uprzejmy dla takiej ładnej dziewczyny jak ty, Sasho, więc się nie przejmuj. — Próbował mnie pocieszyć, ale niespecjalnie mu się udało, zważywszy, że nigdy nie uważałam się za ładną dziewczynę. A skoro nie mówił tego szczerze, lecz tylko po to, żeby mnie pocieszyć, to skąd mogłam wiedzieć, jak potraktuje mnie Teo?

Kolejny już raz ogarnął mnie lekki niepokój. I kolejny raz zaczęłam się zastanawiać, czy przyjazd do Włoch był w ogóle dobrym pomysłem. Może jednak powinnam była sobie poradzić ze swoim życiem w Polsce? Ostatecznie nie stało się nic takiego, co przekreślałoby moją karierę albo choćby ją przesadnie utrudniało. Może trzeba było nie wyjeżdżać?

I po raz kolejny zawieść matkę? Niby powinna się już przyzwycząić, ale jednak...

Poradzę sobie, spróbowałam przekonać samą siebie w myślach. Nie z takimi problemami już sobie radziłam.

— Och, dam sobie radę z Teo — rzuciłam beztrzesko zgodnie ze swoimi myślami, machając dłonią i robiąc dobrą minę do złej gry. Musiałam być całkiem niezłą aktorką, bo mój nowy znajomy chyba dał się przekonać. — Ale słyszałam, że macie teraz dużo roboty przed targami, to prawda?

— Głównie przed zdjęciami. — Vittore pokiwał głową. — Ale na pewno ze wszystkim zdążymy. Powiedz mi, Sasho, skoro jeszcze nie poznałaś Teo, to znaczy, że dopiero przyszłaś? Więc co robisz tutaj sama?

— Alessandro oprowadza mnie po firmie, ale odebrał telefon i odszedł na chwilę — wyjaśniłam, oglądając się za siebie, nigdzie w pobliżu nie widziałam jednak mojego towarzysza. Kiedy z powrotem spojrzałam na Vittorego, ten wyglądał na lekko zdziwionego.

— Alessandro? — powtórzył po chwili, nieco unosząc brwi. Ja swoje z kolei zmarszczyłam.

— Tak, a co?

Vittore spojrzał na coś ponad moim ramieniem — Alessandro wracał. Nawet mnie nie zdziwiło, że znowu poruszał się bezszelestnie; gdyby nie reakcja mojego nowego znajomego, w ogóle bym go nie zauważyła. Jakim cudem, do cholery, potrafił poruszać się jak pantera?

Odwrociłam się do niego i na chwilę przestałam oddychać. Tak, to porównanie do pantery było jak najbardziej słuszne. Do wyjątkowo niebezpiecznej, ale i cholernie atrakcyjnej, pełnej wdzięku pantery.

— Witaj, Alessandro! — Vittore podał mojemu towarzyszowi dłoń, nie odpowiadając na moje pytanie. — Słyszałem, że oprowadzasz Saszę po firmie.

— Tak, na prośbę Cateriny — wyjaśnił Alessandro spokojnie, po czym przeniósł orzechowe spojrzenie na mnie. — Możemy iść?

— To nie ja nas zatrzymywałam. — Zmrużyłam oczy i uśmiechnęłam się, spoglądając na Vittorego. — Miło było cię poznać.

— Ciebie też. I pamiętaj, co ci powiedziałem o Teo. Mówiłem poważnie! — zawołał Vittore, oddalając się w swoją stronę. Po chwili głowa z kędzierzawymi brązowymi włosami wraz z resztą ciała zniknęła

za zakrętem, a ja zostałam znowu sam na sam z Alessandrem. Po chwili, nie patrząc na niego, ruszyłam w dalszą drogę korytarzem.

Mimo woli zastanowiłam się, z kim rozmawiał przez telefon. Nie wyglądał na zachwyconego przebiegiem tej rozmowy. Pamiętałam, że kiedy odebrał, powiedział „Adele”; pamiętałam też, że według jego słów tak miała na imię najważniejsza modelka Di Volpe. Przypadek? Pewnie nie powinno mnie to obchodzić.

— O co chodziło Vittořemu? — zapytał Alessandro, dołączając do mnie. — Co takiego mówił ci o Teo?

Wahałam się tylko chwilę. Obiecałam sobie przecież, że sama poradę sobie z problemami i nikomu nie będę się żalić. Wobec tego odparłam w końcu spokojnie:

— Nic. Nic takiego.

PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —



1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion 

PEŁNA HUMORU OPowieść O TYM, JAK ZACZAĆ OD NOWA I NIE ZWARIOWAĆ!

Czy początkująca fotografka może otrzymać lepszą posadę od stanowiska asystentki fotografa w mediolańskim domu mody? Oczywiście, że nie! Sasza powinna przyjąć tę ofertę z pocałowaniem ręki, rzucić wszystko i wsiąść w pierwszy samolot do Włoch. A jednak się waha. Ma wątpliwości, ponieważ świetna z pozoru propozycja wychodzi od jej wiecznie nieobecnej matki, byłej modelki. To wysoce podejrzane... Ponieważ jednak dziewczyna znajduje się akurat na kolejnym życiowym zakręcie, ostatecznie puka do drzwi firmy Di Volpe...


Wkrótce dzięki nowym fantastycznym przyjaciółom pochłania ją szalone mediolańskie życie. Trudna okazuje się jedynie znajomość z synem właścicielki domu mody, Alessandrem. On uważa Saszę za płytką, rozpuszczoną pannicę, nieodrodną córkę jej matki, a ona widzi w Alessandrze wyłącznie bawidamka i playboya.



Czy będą potrafili odsunąć na bok wzajemną niechęć, kiedy intrygi w świecie mody zaczną zagrażać młodej fotografce?

Patroni medialni:



 **editio**red

 Księgarnia internetowa:
<http://editio.pl>

 Zamówienia telefoniczne:
0 801 339900

0 601 339900

Sprawdź najnowsze promocje:
• <http://editio.pl/promocje>
Książki najchętniej czytane:
• <http://editio.pl/bestsellery>
Zamów informacje o nowościach:
• <http://editio.pl/nowosci>

Helion SA
ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice
tel.: 32 230 98 63
e-mail: editio@editio.pl
<http://editio.pl>

ebook dostępny na:
ebookpoint



ISBN 978-83-283-6495-0



Cena 39,90 zł